

Artur Gruszecki.

Po ślubie.

8

— Wiem o tem, — westchnęła, — ja czuję, że się rozchoruję poważnie, jeśli nie wyjadę; a ty, Romciu?

— Ja?... Naturalnie, że chcę i pragnę tego... ostatecznie wszyscy prawie wyjeżdżają z miasta dla poratowania zdrowia, ale czy to odemnie zależy?

— Tylko od pani, — rzekł poważnie Marski, — kobiety wogóle, a żony w szczególności, mają tysiące sposobów przekonania mężów. Trzeba tylko chcieć, a napewno każda z pań zrobi, co zechce.

— Nie rozumiem tego, — uśmiechnął się Bachmacki, — ażeby którykolwiek mężczyzna, a cóż dopiero mąż, oparł się prośbom i wdziękowi pań.

— Chyba, że kobieta nie posiada za grosz sprytu i rozumu, — zaśmiał się Niedzicki.

— Albo też, że woli kwękać, chorować, brzydnąć, zamiast wrócić świeżą, piękną, zdrową, — dorzucił Bachmacki.

Panie nie potrzebowały tych zachęt. Każda z nich pragnęła szczerze wyjechać na lato. Najpierw, że wyjazd należy do dobrego tonu i szanująca się żona powinna wyjechać; następnie, zawsze to nowość wrażeń i otoczenia; wreszcie, dobrze jest pozbyć się na jakiś czas obowiązków żony i gospodyni; mąż będzie tęsknił, mieszkarnie się odświeży i jest sposobność do zrobienia kilku koniecznych sprawunków i zaopatrzenia się w nieodzowne rzeczy.

— Wiesz, Romciu, ja jadę, — zawołała Natalcia.

— Pani jest dzielna i energiczna kobieta, — chwalił Bachmacki, — takie są godne uwielbienia, ale nie te ślamazarne, co się pokornie podają cudzemu kaprysowi, chociażby ze szkodą swego zdrowia, humoru i sił, — patrzył z wyrzutem na Romcię.

Romcia z natury była domyślna, zrozumiała też natychmiast, że on pragnie, ażeby ona była nie tylko godną uwielbienia, ale przewyższyła swą przyjaciółkę. Nie uważała jednak za stosowne naśladować Natalcię i dla formy spytała ją, udając, że nie słuchała apostrofy Bachmackiego:

— I napewno, Natalciu, jedziesz? czy mąż wie o tem?

— Jadę, i zaraz ci powiem, dlaczego, — nachyliła się ku Romci i szeptała dość długo, co Romcia przyjęła z uśmiechem porozumiewawczym, skinieniem głowy, wreszcie rzekła:

— W takim razie musisz jechać... Zdaje mi się, że i ja pojadę. Wahałam się dotychczas, ale teraz już się zdecydowałam, — spojrzała na Bachmackiego, który skinął głową z wielkim uznaniem.

— Zaś ja posłucham nareszcie doktora i męża i także wyjadę, — odezwała się Stasia.

— I jak to będzie cudownie, Romciu, — zawołała ucieszona Natalcia, — że będziemy razem. Wiesz, wycieczki do lasu... poziomki... nowi ludzie, przytem muzyka, koncerty, zabawy.

Romcia, wdzięczna za pierwszą usłyszaną pochwałę swego kapelusza, powiedziała serdecznie:

— I kochana pani Stasia z nami... koniecznie... dopiero będziemy się bawiły.

Natalcia na propozycję Romci skrzywiła się, ale Niedzicki, ze względu na przyjaźń łączącą go z Marskim, rzekł z miną arbitra nieomylnego, a wiedział, że za takiego uważa go Natalcia:

— Tylko ludzie, którzy mają coś nieczystego do ukrywania, szukają nowych znajomości w zdrojowiskach lub letniskach, a jaśni i czystości zawsze wolą dawnych znajomych. Nie ulega też wątpliwości, że im liczniejsze kółko będzie „swoich”, — podkreślił ten wyraz, — tem miłszy pobyt i weselsza zabawa. Sądję tedy, że obecność pani Stasi będzie podniecią do zabaw i niespodzianek.

— Naturalnie... tak jest, — przytakiwała Natalcia obowiązkowo.

— A cóż będzie z nami, gdy panie wyjedziecie? — zawołał Marski, patrząc z pod oka na Stasię, — my tu z nudów pomrzemy.

— Tak źle nie będzie, — zaśmiała się Romcin, — i spodziewamy się, że nas zechcecie odwiedzić.

— To rozumie się samo przez się, — ode-

zwał się Bachmacki, — dobrzeby jednak było ułożyć się, dokąd panie wyjadą, no, i kiedy?

Posypały się nazwiska różnych zdrojowisk i letnisk. Panie nie znały wprawdzie żadnej miejscowości i w żadnej nie były, ale słyszały o zabawkach i wycieczkach w Zakopanem i mniej więcej stanęło na tem, że dla poratowania ich nadwątlonego zdrowia byłoby najodpowiedniejszym Zakopane.

— Boże! — krzyknęła nagle Natalcia, zrywając się z krzesła. — Już pół do drugiej!... Obiad, mąż, dziecko... I dlaczego mi pan nie powiedział? — spojrzała oburzona na Niedzickiego.

— Stał mi zegarek, — uśmiechnął się spokojnie.

— Kłamstwo! Już idę!

Równocześnie wstały Romcia i Stasia, spiesząc się z wyjściem.

— Poco tak nagle! — zawołał flegmatycznie Marski, — co wielkiego, że zje później, trzeba się rozplacić...

— A płacie lub nie, — powiedziała z gniewem Natalcia, — idę... mąż, i właśnie, gdy mam wyjechać!

Niedzicki wstał, ażeby odprowadzić, ale Marski i Bachmacki szepnęli:

— Zostań... poco?

Panie wyszły. Stasia skrzywiła w jedną stronę, a Romcia i Natalcia poszły w drugą.

— Ile ci pożyczył Bachmacki? — spytała Natalcia obcesowo, idąc spiesźnie.

— A ty skąd wiesz? — zdziwiła się Romcia.

— On mi mówił, tylko cyfry nie chciał powiedzieć.

— A! Jaki on podły, a tak przysięgał, — mówiła zacierwieniona, — dziś pójdę do mamy, i zastawię, sprzedam, a oddam temu plotkarzowi.

— No, a ile? — nalegała Natalcia.

— Głupie pięćdziesiąt koron i robi tyle hałasu... powiem ja jemu.

— Uspokój się, on nic nie mówił, ani słował.

— Nieprawda! Teraz chcesz go bronić.

— Jak Bożę kocham, nie on!

— Więc kto? Tem gorzej, że wszystkim rozpowiada, taki podlec!

— Naprawdę, jak ciebie kocham, o nie mówił ani mnie, ani innym.

— Nie wierzę.

— Jak Irenusię kocham.

— Nie!

— Jak pragnę wyjechać!

— A, to co innego, więc skąd wiesz, jeśli on nie mówił?

— Domyśliłam się sama, przecież taka głupia nie jestem, ażebym przypuszczała, że mąż ci dał, a ponieważ on się w tobie zadurzył on tylko mógł dać.

— I prawdę mówisz Natalciu?

— Jeśli mi nie uwierzysz, pogniwam się. Czyż ci się nie zakłęłam?

— No, dobrze, już wierzę, ale pamiętaj, Natalciu, nikomu ani słowa.

— To się rozumie samo przez się. I czego on wymagał dając pieniądze?

— Niczego. Mówił, że mu łaskę zrobię.

— Oni zawsze tak mówią, — uśmiechnęła się z wyższością jaką daje doświadczenie, — a potem dopiero wylazi sztyld z worka.

— O, nie ze mną, ja mu oddam. Dziś już odłożyłam dwadzieścia halerzy.

— Nie sądzę, ażebyś była Romciu taka głupia, czy nasz uśmiech, spacer z nimi, pozwolenie spotkania się z nami, nic nie są warte? Niech płacą... głupi dają, mądry bierze, — zaśmiała się wesoło.

— Kiedy mi jakoś wstyd.

— Bo nie jesteś doświadczona... No, a jak z mężem, czy pozwoli na wyjazd? — zbliżyły się do miejsca rozstania przy skrzyżowaniu ulic.

— A ty, Natalciu? Czy on już się zgodził?

— Nic nie wiem. Odprowadź mnie kawaleczek, pogadamy.

— Nie, nie mogę... mąż czeka.

— To i co z tego? Trzeba ich przyzwyczajać.

— Nie! Mąż... Marcinowa... nie mogę, — stanęły obydwie.

— Śmieszna jesteś, kto się liczy ze służącą? na to służy, ażeby czekać, a twój mąż nie da sobie krzywdy zrobić, zje bez ciebie. Co innego ja, czeka Irenusia, no i on.

— Wiesz, Natalciu, odprowadź mnie, i tak zgodzi się twój mąż na wyjazd.

— Może... a z twoim co będzie?

— Będę go prosiła.

— Najgorzej w świecie, tylko nigdy o nic nie prosić, bo zaraz mu się zdaje, że robi łaskę,

że jest panem, że od niego wszystko zależy. Wierz mi, że jak poprosisz, on napewno się nie zgodzi.

— Więc co mam robić?

— To zależy od tego, jak ze sobą żyjecie? Jeśli bardzo blisko i serdecznie, wystarczy czasem cicha skarga, smutek i nadzwyczajna troskliwość o niego. A jeśli życie tak sobie, od czułości do czułości, potrzebna wtedy jakaś choroba, zniechęcenie, niezajmowanie się nim, domem, aż do porady doktorskiej.

— Takie rzeczy znam, — uśmiechnęła się, — i dla innego, na przykład dla twego męża wystarczy choroba, ale mój żartuje z tego, kpi, i wcale nie uważa.

— To zachoruj naprawdę.

— Ale na jaką chorobę? Doktor pozna i co będzie? — Dopytywała się niespokojnie.

— Wiesz, choruj na serce, bardzo trudno poznać, było bicie serca, duszności, i niema, — zaśmiała się.

— A ty, co myślisz Natalciu?

— Jeszcze nie wiem, zobaczę... może wmówię mu, że chory, chociaż to gorzej, bo pojedzie razem. Zastanowię się... A ty jak myślisz? Czy kupować osobny kostium na wycieczki?

Temat ten był tak interesujący, że obydwie panie, gdy słońce im dokuczyło, przeszły na drugą stronę ulicy będącą w cieniu i rozmawiały z wielkim ożywieniem, zapomniawszy o pośpiechu. W najciekawszym jednak miejscu musiały urwać, nadeszli bowiem ich mężowie, cokolwiek zawiani i jak to zwykle bywa rozczerwieni:

— Natalciu! Złoto moje! — wołał Szabelski, i otworzywszy ramiona, chciał ją ucałować. Usnęła się szybko, a on mówił z czułością: — pewno niespokojna poszłaś mnie szukać. Chwała Bogu nic złego... trochę, uważasz, tego... ale to nic!... A, i pani Winecka! — ucałował głośno jej rękę, — Moje uszanowanie! Także dobra, przykładna żona, ale ja męża prowadzę, a jakże!...

— Kłamię, Romciu? Jak Boga mego, kłamię! — bił się z wielką siłą w piersi. — To ja jego wyciągnęłam, — wołał lekko się kołysząc.

— Panie, korzystając z bezbronności swych mężów, nie szczędziły dotkliwych, chociaż delikatnych wyrzutów i przykładnie zaprowadziły ich do domów.

IV.

Handel pod św. Janem cieszył się nie tylko sławą doborowych towarów, smacznych śniadań i dobrego piwa, ale bodaj czy nie w znaczniejszej mierze dobraniem, a poważnym towarzystwem swych stałych klientów.

Gromadzili się w nim w południe i wieczorem zasobni kupcy, właściciele kamienic i zakładów, rajcy i urzędnicy magistratu, wyżsi rządowi urzędnicy, będący w służbie i na emeryturze, ale, co dziwniejsze, poważne sklepione izby mieściły w sobie także opozycję autonomiczną i rządową, która przynajmniej w tym zakładzie żyła w przykładowej zgodzie ze swymi przeciwnikami, a swe odrębne i samodzielne stanowisko zaznaczała jedynie siedzeniem przy osobnych stołach.

W tym to poważnym i sędziwym przytulku mieli swój stół zastrzeżony panowie Szabelski, Winecki, Orszycki i kilku bliższych znajomych, niemal przyjaciół, a pomiędzy nimi były właściciel warsztatu blacharskiego, starszy człowiek Blum, który wycofał się z interesu, kupił kamienicę i był kapitalistą.

Na jaki kwadrans przed zwykłą porą zbierania się u stołu przyszedł Orszycki, niemłody, średniego wzrostu, z miną poważną obejrzał pustą stół, nakryty bibułą, powiesił na wieszadle, w swem stałym miejscu, kapelusz i łaskę; otarł pot z czoła, gdyż dzień i wieczór był gorący, zasiadł na swem krześle, znacząco chrząknął i obejrzał się za usługującym chłopcem.

Po chwili zbliżył się do stołu wyrostek, lat około czterdziestu, z przyjemną twarzą wesołego łobuza i wypowiedział dźwięcznym głosem stereotypowe pytanie:

— Co pan radca każe?

Orszyckiego, właściciela zakładu litograficznego, tytułowano wogóle radcą, gdyż swego czasu jego przyjaciele i znajomi postawili w swem kółku jego kandydaturę na radcę miejskiego. Wprawdzie nie otrzymał tej godności, ale tytuł pozostał, i on ze względu na niedoszły wybór należał do opozycji.

Nad pytaniem chłopaka zastanowił się po-